

Malcolm Jameson

Wyścig na ślepo

(Blind Man's Buff)

Astounding Science Fiction, October 1944
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

© Public Domain

This text is translation of the novelette "Blind Man's Buff"
by Malcolm Jameson.

This etext was produced from Astounding Science Fiction,
October 1944.

Copyright for the translation is transferred by the translator
to the Public Domain.

This eBook is for the use of anyone anywhere at no cost and
with no restrictions whatsoever.

Całą kolekcję tłumaczonych przeze mnie utworów SF znaleźć można pod adresem:
http://archive.org/search.php?query=subject%3A%22WB_kolekcja%22&sort=-publicdate

Jasna kropka urosła do dysku już kilka dni wcześniej, a teraz zmieniała się oślepiającą srebrzystą kulę, wiszącą prosto przed nimi. Arbiter pomocniczy, Lorimer, siedział w kabinie radiowej, drzemiąc sobie spokojnie z założonymi słuchawkami. Hartley wykonał parę ostatnich korekt przy swojej wypieszczonej Maggy – przyrządzie z teleskopem rentgenowskim – a potem poszedł sobie do Trvisa, siedzącego przed ekranem wizyjnym.

— Zjednoczyły się przeciwko nam z pewnością wielkie pieniądze — zauważył Hartley, przyglądając się roztaczającej się przed nimi, scenerii na zewnątrz.

— Pieniądze są naprawdę duże, jeśli o to ci chodziło — przyznał Travis z ponurym chichotem. — Ale nie jestem już taki pewny czy ilość przeszła w jakość. Farrington-Driscoll kombinują zawsze tak, żeby wykonać całą robotę siłami statystyki. Tak też robią i teraz. Strategia Driscolla polega tylko na prostym przeliczaniu proporcji. Szacowana przeżywalność statków próbujących lądowania na Wenus wynosi z grubsza jeden do stu. Ergo! Wysyłają trochę więcej niż sto statków. Ich konkurenci, tacy jak ty i ja, czy stary Buck Turner – zmuszeni jesteśmy grać w pojedynek. My wszyscy razem zebrani, gdybyśmy byli razem zebrani – a przecież nie jesteśmy – mielibyśmy bardzo niewielkie szanse z jego psami łańcuchowymi.

— Chyba że będziemy od nich sprytniejsi — uzupełnił Hartley.

— Tak — chrząknął Travis.

Na prawo i na lewo od nich znajdowały się inne statki, jeden obok drugiego, równo w szeregu, ale zakrzywiającym się do dołu i tworzącym wielki okrąg, zamykający się czterdzieści mil pod ich kadłubem. Cała formacja otaczała samotny krążownik przewożący głównego arbitra, podążający bazowym kursem między Ziemią i planetą do której lecieli. Wkrótce mieli dotrzeć do punktu, odległego od Wenus o dziesięć jej średnic, i od tego miejsca miało rozpocząć się podejście do lądowania. Dalej, będzie to już wolny dla wszystkich wyścig o honor – i niewypowiedziane bogactwo – związane z dotarciem jako pierwszy na powierzchnię.

Większość ze statków nosiła żółto-niebieskie oznaczenia Kompanii Rozwoju Terytorium Wenus, przedsiębiorstwa Farrington-Driscoll. Gdzieś po drugiej stronie koła unosiła się pordzewiała łajba Bucka Turnera. W pobliżu widać było dwa szaleńczo przebudowane jachty, obsadzone przez dotknięte awanturniczą żyłką dzieciaki z college'u. Jakieś ćwierć obwodu od nich znajdowało się kilku innych niezależnych uczestników, wszyscy cechujący się raczej mało praktycznym podejściem. Wśród nich był człowiek, pieczołowicie hołubiący teorię, że jedynym sposobem na przedarcie się przez śmiertelną zasłonę chmur na Wenus jest prowadzenie fizycznego sondowania przy pomocy drucianych trałów, a następnie zrzućcie latawców-balonów z cumami. Jego pomysł polegał na rozmieszczeniu w ten sposób boj, jak można by je nazwać, aby oznaczyć

najbardziej niebezpieczne skały. Innym uczestnikiem był gość, uważający się za doświadczonego meteorologa, którego statek wypełniony był po brzegi pojemnikami zawierającymi różnokolorowe proszki. Opróżniając je na wenusjańskie chmury miał nadzieję porobić ślady, których ruchy będzie mógł dalej badać. Po sporządzeniu mapy generalnej cyrkulacji górnych warstw atmosfery i wykryciu obecności prądów wznoszących oraz zawirowań, miał nadzieję wydedukować lokalizacje położonych w dole zagrożeń.

Nadzieje samych Trávisa i Hartleya, wiązały się z urządzeniem o nazwie magnar – Maggy, jak woleli je nazywać – maszyną ucieleśniającą wszystkie zalety super-radaru i więcej, ale odwrócone. Podczas gdy radio w starym stylu używało oscylujących prądów elektrycznych do generowania fal magnetycznych, magnar działał na odwrotnej zasadzie. Strumienie fal z magnetronów tworzyły napięcia elektryczne, odzwierciedlające oddziaływania pochodzące z otoczenia. Rezultaty były nieporównanie bardziej satysfakcjonujące niż przy użyciu standardowego wyposażenia elektronicznego, ponieważ magnar był jednocześnie urządzeniem penetrującym, jak i analitycznym. Jednak przyrząd ten, chociaż dawał cudowne wyniki przy testach w warunkach ziemskich, to jego działanie na Wenus musiało zostać dopiero potwierdzone. Obserwowane tam były swoiste zjawiska magnetyczne, będące skutkiem, prawdopodobnie, bliskości gwałtownego źródła promieniowania, jakim było Słońce. Zorze spotykane były na wszystkich szerokościach geograficznych, i wiadomo było o istnieniu niskiego pasa atmosfery praktycznie nieprzejrystego dla wszystkich zakresów fal, poza długimi. Ale na dobre lub na złe, postanowili polegać na swoim urządzeniu, mając nadzieję że sprowadzi ich bezpiecznie na dół, i w tym drugim przypadku stosować się ściśle do rygorystycznych reguł ustanowionych przez Biuro Genomiki, w procesie zgłaszania roszczeń.

Zabrzmiał gong ostrzegawczy i Lorimer wrócił do życia.

— To sygnał gotowości — oznajmił i włączył głośnik.

— Wszystkie statki, uwaga! — zahuczał głos głównego arbitra. — Za pięć minut osiągniemy punkt podejścia do lądowania. Proszę sprawdzić czy nikt nie wysunął się przed stację, albo zostanieie zdyskwalifikowani. Niech wszyscy mnie uważnie słuchają, a ja przypomnę obowiązujące zasady. Statki będą lecieć z włączonymi mikrofonami, tak bym mógł śledzić, gdzie jesteście. Po wykonaniu podejścia do planety macie wylądować statkiem tam gdzie będzie to możliwe i pozostawić arbitra pomocniczego na pokładzie, dla celów komunikacyjnych. Następnie natychmiast ustawić radiolatarnię, tak bym w razie konieczności mógł odwiedzić was w celach kontrolnych. Potem jesteście wolni i możecie swobodnie eksplorować otaczający was teren.

Nastąpiła przerwa na potwierdzenia informacji do tego miejsca. Travis przytaknął. Znał reguły. Sygnały radiowe przebijały się głośno i czysto. Gwałtowne trzęsienia ziemi i strumienie wrzącego wulkanicznego mułu, spadające jako deszcz, zmusiły go do odwrotu zaraz po wylądowaniu, ale radiolatarnia jaką zostawił na dole działała wystarczająco długo, aby pozwolić mu bezpiecznie wrócić do stratosfery. Przestała wysyłać sygnał

po godzinie, co wskazywało, że kolejne trzęsienia ją zniszczyły, ale pokazała ona, co było możliwe.

— Po pierwszym rekonesansie — kontynuował głos z krążownika, — powinniście oznaczyć wasze działki. Niejasne opisy, drewniane paliki, znaki na drzewach, czy też stosy ułożone z zebranych kamieni nie wystarczą. W przeszłości było zbyt wiele procesów sądowych, wynikających z beztroskich pomiarów na Marsie. Należy dostarczyć dobre mapy topograficzne, teren musi mieć oznakowane granice przy pomocy kamieni granicznych, i narożniki wyznaczone przez wyraźnie wystające słupy. Jeśli to możliwe, pomiary powinny być oparte o planetarną siatkę kartograficzną. W przypadkach konfliktowych, tytuł własności będzie przyznawany najdokładniej opisanym roszczeniom.

— Wyobraźcie sobie tylko! — parsknął Hartley. — Żądać dobrej topografii w gęstej mgle. To dobrze, że mamy Maggy.

Travis milczał. Rozmyślał nad tym, jak takie zapisy mogły znaleźć się w ogłoszonych warunkach. Czy nie było w tym ręki Driscolla, który wiedział, że są one bezsensowne, ale wprowadził je w jakiś sposób, żeby zwyciężyć w tych zawodach? Przecież termin planetarna siatka kartograficzna oznaczał albo wcześniejsze pomiary triangulacyjne, albo wyznaczenie położenia równoleżników i południków, oczywista niemożliwość w świetle znanych faktów. Może Driscoll miał zamiar wykonać takie pomiary. Miał całą armię ludzi i wiadomo było, że zabrał na pokłady mnóstwo sprzętu na podczerwień. Jeśli ktoś miał wystarczająco dużo ludzi i czasu, Wenus mogła zostać pomierzona triangulacyjnie przy pomocy detektorów ciepła i kierunkowych komunikatorów radiowych. To była niepokojąca myśl.

— Dziesięć sekund do startu — ogłosił krążownik, a po ich upływie rozległo się długie buczenie.

— No to start dla wszystkich i powodzenia — zabrzmiały ostatnie słowa arbitra.

Ekran przestał już pokazywać widok atramentowo-czarnego nieba, z jasną srebrną kulą pośrodku. Pokryty był teraz pół na pół czernią i srebrem; aksamitne, usiane gwiazdami niebo zajmowało górną jego część, zaś oślepiająco jasna powierzchnia Wenus, dolną. Linia podziału tworzyła mocno zakrzywiony łuk – segment górnej części pierścienia tarczy planety. Ale stopniowo, po trochu, robił się on coraz bardziej płaski, aż w końcu jego krzywizna przestała być w ogóle widoczna. Zmienił się w linię prostą – horyzont. Wszystko, co leżało poniżej niego, wydawało się być nieskończonym, pozbawionym cech charakterystycznych, polem śnieżnej bieli, płaskim jak stół. Wyglądało ono podobnie do śniegu, ale nim nie było. Był to gąbczasty bezmiar splątanych igiełek lodu, zmrożona warstwa górnych cirrusów, wyznaczająca granicę między stratosferą i strefą mgieł i chmur. Travis ruszył sterami. Wyprowadził statek z kursu styczego i przeszedł do łagodnie zakrzywionego lotu „poziomego”. Wysokościomierz

ustawił się obecnie na stałej pozycji. Jego wskazanie wynosiło dwanaście kilometrów.

Nie musieli się śpieszyć. Tak jak po sygnale startu zrobiły to niektóre z psów łańcuchowych Driscolla, oraz entuzjaści spośród pozostałych uczestników. Wszyscy oni chcieli być pierwsi na dole, jak na to wskazywały strugi gwałtownych płomieni z ich silników pomocniczych. Ale kiedy tamci rozproszyli się szerokim wachlarzem, zmierzając każdy w stronę wyznaczonej części perymetru Wenus, Travis pozostał z tyłu. Nie było pośpiechu. Większość z tych wyrywanych ptaszków zginie, jeśli historia można wierzyć doświadczeniom z historii, a on nie miał zamiaru znaleźć się między nimi. Zauważył, że Driscoll również wyczekująco został z tyłu, i jego strategia stała się jasna. Sprytny finansista wolał poczekać, aby zobaczyć którzy z jego zwiadowców przeżyją, a potem podążyć za nimi na dół, korzystając z ich zamiaru. Jeśli wszyscy zginą – no cóż, będzie musiał spisać ekspedycję na straty i wrócić do domu. Zawsze będą jakieś kolejne okazje.

— Co tam słyszysz? — ostro rzucił Lorimer, zwracając się do Lorimera, który skulił się w kabine radiowej, nasłuchując przez słuchawki komunikatów innych statków. Twarz mężczyzny zrobiła się biała jak ściana, oczy wielkie i szkliste, a od czasu do czasu wzdrygał się gwałtownie.

— Tam... tam na dole jest prawdziwa jatka — powiedział, oblizując wargi. — Rozbijają się jeden po drugim. Słuchać jak przekazują meldunki, a potem zupełnie nagle przechodzą one w krzyki... coś o szczytach wyłaniających się przed nimi z mgły... albo łączność urywa się w wybuchu zakłóceń... Och, proszę pana, czy nie myśli pan, że lepiej będzie zawrócić?

— Nie jesteśmy tacy szaleni jak to się wydaje — ponuro odparł Travis. — Ale jeszcze nie podkulamy ogona pod siebie.

Wykonał kilka kolejnych korekt lotu statku. Większość jego pędu została wyhamowana przez opór powietrza. Teraz pracował tylko jeden silnik, i to tylko tak odrobinę, żeby zachować przyjęty kurs. Travis poruszył dźwigniami, które wysunęły krótkie skrzydła statku i płetwy stabilizujące. Od tej chwili powinno dać się nim sterować jak szybowcem, ale z pokaźną rezerwą mocy na przepustnicy.

— Rozgrzej Maggy — polecił, — i zacznij strzelać.

Hartley włączył magnetoskop. Była to przystawka, przekształcająca odległości i namiary w promienie świetlne. Całą robotę wykonywały lampy magnetronowe, projektując wynikowy obraz widzialny na wklęsły ekran, po przeciwległej stronie kabiny. Przez chwilę ekran nie pokazywał nic poza elektroniczną mgłą, ale w miarę jak chmury rozstępowały się i wyłaniały się ukryte za nimi obrazy, mgła zaczęła się roztopiać. To co się pojawiło, było naprawdę zadziwiające.

Warstwa zamarzniętych cirrusów zniknęła. Kilka mil poniżej jej poziomu, nagle pojawiło się coś co wyglądało na błękitne morze, usiane porzucanymi skalistymi wysepkami, ustawionymi w długie, zakrzywiające się łańcuchy. Nie było ono jednak podobne do żadnego z oceanów oglądanych wcześniej okiem człowieka. Jego powierzchnia wydawała się być twarda i błyszcząca, tak jak powierzchnia lodu, lecz ta

pozornie sztywna tafla, unosiła się i opadała w potężnym rytmie, to pokrywając, to odsłaniając kolejne sterczące z niej skaliste turnie. Cała ta sceneria sprawiała wrażenie czegoś nierzeczywistego, ponieważ na żadnej z tych wysepek nie było widać ani brzegów, ani plaż, a ich postrzępione zarysy powiększały się i kurczyły w fazie zgodnej z pulsowaniem dziwnego krystalicznego morza.

— To musi być ta jonosfera — zaryzykował Travis, rzuciwszy okiem na zdumiewającą panoramę. — Widzimy to zjawisko, które zakłóca transmisje radiowe, i zdaje się że zupełnie nas powstrzymało. Ale przynajmniej jesteśmy w stanie dokładnie je określić, To już jakaś pomoc.

— Zejdź niżej, tak blisko jak tylko się da — zasugerował Hartley. — Może ma to jakiś związek z kątem oddziaływania. Niżej może będzie ono słabsze albo w ogóle zaniknie.

— Już się robi — oznajmił Travis i opuścił dziób statku, schodząc w dół.

Niebłaganie, błyszcząca powierzchnia wydawała się pędzić coraz wyżej, zmierzając im na spotkanie. Nie przerzedziła się nawet odrobinę, ani nie zniknęła. Wersja generowana przez magnetoskop mogła być kompletną iluzją, ale to co mieli przed oczyma wyglądało na twardą i niepoddającą się taflę. Gdyby Travis utrzymał obecny kąt zejścia, byłoby tylko kwestią minut, kiedy statek stanąłby przed trudną próbą. Albo by się rozbił, gdyby tafla była realna, albo zanurzył się w – no właśnie, w czym?

— Stójcie! Nie schodźcie niżej! Proszę, nie! — szlochał Lorimer. Niezauważony zakradł się do kajuty i patrzył teraz szaleńczym wzrokiem na ekran. — To samobójstwo, mówię wam.

Travis popuścił na sterach i częściowo wyprostował lot.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

Lorimer był kompletnie przerażony. Trzęsąc się i łkając wyrzucił z siebie co usłyszał przez radio. Większość z pozostałych uczestników zginęła – wszystkie statki niezależne i mnóstwo należących do Driscolla. Wiele z nich roztrzaskało się o niewidoczne skały, a kilka meldowało, że utknęło w bagnach, które całkowicie ich pochłonęły. Niektóre ze statków Driscolla zbuntowały się i wzięły kurs prosto na rufę. Tylko jeden bezpiecznie wylądował, a i ten skarżył się Driscollowi i arbitrowi na kłopoty. Rzucało nim na wszystkie strony na wzburzonym oceanie i nabierał wody przy każdej gigantycznej fali, ponieważ jego wysokościomierz podawał błędne wskazania i popękały mu płyty poszycia podczas zderzenia. Wenus dorównywała swojej zabójczej reputacji.

Lorimer nie dokończył swej żalostnej przemowy. Rzucił po raz kolejny okiem ponad ramieniem Travisa, na pseudo-morze. Teraz znajdowało się ono już nie dalej niż w odległości kilkuset jardów i zderzenie wydawało się bliskie. Lorimer wydał z siebie cichy jęk i padł jak długi, tracąc przytomność. Travis obrzucił leżącą bezwładnie postać pogardliwym spojrzeniem i przerzucił dźwignię sterów.

— Czy mam spróbować skoku ze spadochronem? — spytał radośnie Hartley, kiedy Travis skierował statek na nieznacznie wznoszący się tor lotu.

Travis pokręcił przecząco głową.

— Za bardzo ryzykowne. Lepiej trzymać się razem. A co z tymi częstotliwościami supersonicznymi? Czy możesz dostroić do nich Maggy? Wątpię, czy ktoś kiedykolwiek pomyślał o wykorzystaniu ich do sondowania.

— Mogę spróbować — odparł Hartley i zajął się zmianą ustawień magnostatu. Nie było mu żal, kiedy usłyszał, że wariant ze spadochronem odpadł, ponieważ w najlepszym przypadku dawał on złudną nadzieję. Jeden z nich miał wyskoczyć za burtę z automatyczną radiolatarnią, w nadziei, że spadnie w pobliżu miejsca w którym statek będzie mógł wylądować. Gdyby radio zawiodło, pozostawałaby jeszcze możliwość wysłania na górę wiadomości przymocowanych do baloników sondażowych. Ale ich złapanie, czy nawet dostrzeżenie w górnych warstwach atmosfery, byłoby trudnym zadaniem dla szybko poruszającego się statku.

Sondowanie soniczne zdało egzamin. Maggy nie była odpowiednio wyposażona, aby przetwarzać tego rodzaju dane na obraz, ale Hartley potrafił interpretować echa.

— Ten łańcuch wysp po prawej — oznajmił — kończy się stromą ścianą skalną. To co mogę odebrać spoza niego, jest bardzo słabe i mocno opóźnione. Myślę, że to urwisko tworzy wysoką skarpe, albo przynajmniej jest to bliższa ściana niesamowicie szerokiego kanionu. Spróbuj tam wejść.

— No to jedziemy — ponuro odparł Travis i rozpoczął ryzykowne zejście.

Przejście przez granicę tajemniczej jonosfery, stanowiło emocjonującą chwilę. Wzdrygnęli się mimowolnie na wydawałoby się nieuchronne śmiertelne zderzenie. Wtedy jednak obraz magnetoskopu rozpląnął się w rozmytej mlecznej niebieskiej mgie, odpowiadającej bezkształtnej zasłonie wirujących chmur, które ciągle przesłaniały standardowy ekran wizyjny. Straszliwa niepewność trwała przez sekundę, a potem obraz ponownie się oczyścił, tym razem z dziwacznie oscylującą błękitną powierzchnią, wiszącą im tuż nad głowami. Pod nimi, w dole, rozciągała się wspaniała panorama – niewiarygodnie obca, ale w pełni otwarta na ich spojrzenia, tak jak tereny na Ziemi są otwarte dla oczu ptaków. Magnar przebił zasłonę skrywającą ziemię obiecaną. Wenus należała do nich!

Cały obszar pod nimi pokryty był wspaniałą płataniną niemal wszystkich znanych z Ziemi form skalnych. Góry tworzące blanki, które wieńczyły wierzchołek skarpy, skryły się ponad jonosferą, ale wszystko inne było dokładnie widać. Strome zbocza spiętrzonych odłamków skalnych u podnóża potężnego klifu, schodziły ku czemuś, co na normalnej planecie byłoby równiną. Ale tutaj równina usiana była

mnóstwem stożków wulkanicznych, wiele z nich otoczonych było osobliwym całunem brudnego brązu – prawdopodobnie był to popiół wulkaniczny zmieniony przez wszechobecną wilgoć w padające błoto. W innych miejscach widać było okropnie pokrzywione pochyłe płaskowyzę i sporadyczne wzgórza o ściętych wierzchołkach, między którymi meandrowały wielkie rzeki. W oddali, po prawej stronie można było dostrzec morze. Tym razem było to prawdziwe morze, pocętkowane wyspami, małymi i dużymi, część z nich otoczona była przez zamknięte przez rafy laguny. Linię graniczną między morzem i ziemią tworzyły niewyraźne, podmokłe tereny, na których rzeki traciły swoje widoczne koryta, zmieniając się w labirynty krętych zalewisk, delt i lagun. Wszędzie tam, gdzie grunt był choć trochę równiejszy, wyrastały potężne lasy niewiarygodnie wysokich drzew.

Travis krążył nad tym wszystkim, wypatrując usilnie najlepszego miejsca do lądowania, ponieważ kiedy już znajdą się na dole, mieli zostawić statek i dalej kontynuować swoje działania w pojeździe terenowym – amfibii, który przywieźli w ładowni. Nagle pochwycił wzrokiem dziwną formację z kamieni, na krawędzi jednego ze skośnie ściętych płaskowyzów.

— Jaka dziwna skała — zaczął mówić, — na miłość Boską, ona wygląda jak...

Reszta zdania zamarła mu na ustach, ponieważ nagle do życia wrócił Lorimer. Mężczyzna oszalał ze strachu. Rzucił się biegiem przez pomieszczenie, wrzeszcząc w histerycznym amoku:

— Nie pozwolę się zamordować! — wył. — Nie zapuścicie się w to szaleństwo!

Travis i Hartley rzucili się na niego, ale Hartley zaplątał się po drodze, zaś wściekły podbródkowy Trávisa dotarł do celu zbyt późno. Szkoda już się stała. Lorimer zapadł z powrotem w nieświadomość, ale działało się to w świetle widmowej poświaty emitowanej przez ciągle świecący ekran wizyjny. Wszystko inne przestało działać. Magnetoskop był popsuty. Wściekle młójące dłonie Lorimera zdołały szarpnąć za połowę przełączników na pulpicie. Powoli zaczęły rozbłyskiwać światła awaryjne, a wskaźniki mierników, zwłaszcza tych związanych z obwodami magnetycznymi, nieustannie oscylowały szaleńczo we wszystkie możliwe strony. Nagłe przerwanie napięcia wywołało zawirowania magnetronów, które miały nie wygasnąć przez wiele minut.

— Spróbuj uruchomić z powrotem supersonikę, jeśli ci się uda — wycedził Travis przez zęby. — Ale wygląda, że będę musiał lądować naszym maleństwem na ślepo.

Zaklął gorąco, próbując sobie przypomnieć różne szczegóły topografii terenu, który wcześniej oglądał. Nie było jednak czasu na rozsądne działanie. Wysokościomierz wskazywał tylko kilometr i szybko opadał. Zanim zdołał odzyskać kontrolę nad statkiem, ten zaczął mocno się szarpać, z trzaskiem łamanych gałęzi, i skrobaniem wierzchołków drzew o dolną część kadłuba. Szarpnięcia przeszły w gwałtowne wierzgnięcie do przodu, któremu towarzyszyły wstrząsy i uderzenia. Przez chwilę zdawało się, że statek wyrwał się na wolność, ale tylko po to, by zacząć bezładnie

spadać. Nastąpił króciutki, oszałamiający moment głuchego uderzenia, i ich podróż się zakończyła. Z miękkim hukiem, leniwie się przetaczając, statek zatrzymał się. Travis i Hartley siedzieli każdy w innym narożniku kabiny, do których zostali rzućeni przez wstrząs, i nasłuchiwali. Do ich uszu zaczęło docierać nieustanne chłupotanie wody spływającej po kadłubie i stukot kropel deszczu o dach.

— A więc, to jest Wenus! — oznajmił kwaśno Hartley.

— Acha — chrząknął Travis podciągając się, by wstać. — A przynajmniej tak się wydaje. Lepiej ustawmy tę radiolatarnię. Zajmę się inwentarzem.

— **P**onure miejsce — zabrzmiał komentarz Hartleya.

Był po pas ubrudzony w kleistym błocie i właśnie przed chwilą wszedł przez właz wejściowy. Za jego plecami wisiała kurtyna gorącego deszczu, plaskającego o ziemię tylko po to by natychmiast wzbić się w powietrze, w obłokach gęstych oparów. W dole ledwie było widać łazik, który też siedział w błocie po piasty kół napędowych pół-gąsienic. Spływały po nim bulgocące rzeczułki wody, zmierzające dalej do większego strumienia, który słyszeli jak szumi gdzieś w pobliżu. Wzrok sięgał co najwyżej na odległość pięciu jardów. Dalej, w każdym kierunku, widać było już tylko niesamowitą żółtawą poświatę, wszędzie o takim samym łagodnym nasyceniu. Woda i przytłaczający bursztynowy półmrok, były głównymi wyróżnikami Wenus.

— Jak okolica? — spytał Travis. Wyraźnie skruszony Lorimer popatrzył mu nad ramieniem.

— Głównie drzewa. Niesamowite drzewa — odparł Hartley. — Kalifornijskie sekwoje byłyby tutaj sadzonkami. Jeśli środowisko organiczne będzie im pasować, możemy je tu posadzić. Cień nie wydaje się mieć większego znaczenia, tutaj, gdzie światło słoneczne jest tak równo rozproszone. Widać, że między wielkimi drzewami jest mnóstwo innych, o mniejszych rozmiarach, niektóre z nich mają owoce wielkie jak melony. A pod nimi wszędzie rośnie obfite posycie. Boże. Poruszanie się jest bardzo trudne. Cieszę się, że nie musimy pomierzyć tej planety cal po calu.

— No to lepiej uruchom Maggy — powiedział Travis. — Lorimer pomógł mi ją skonfigurować. Musimy już tylko zamocować pantografy do kreślenia i będziemy mogli skorzystać z twojej doświadczonej pomocy.

Hartley zmył z siebie najgorsze błoto i podążył za Travisem w górę, po drabince prowadzącej do włazu do prowizorycznej kopuły. Przyrząd spoczywał na najbardziej płaskiej części dachu, chroniony przed zalaniem wodą przy pomocy pośpiesznie rozłożonego brezentu. Koło niego stało urządzenie które miało odbierać trójwymiarową mapę rzeźby terenu w zmniejszonej skali, tworzoną przez Maggy. Była to prostopadłościenna skrzynka, obudowana z trzech stron, otwarta od góry, skonstruowana z płytek przezroczystego kryształu syntetycznego. Travis przykręcił do uchwytów wystających z boków magnaru, ramiona pantografów, i na ich

końcach przymocował pisaki. Kiedy skończył montaż, pantografy rozłożyły się, sięgając do skrzynki odbiornika.

— Bez naszej Maggy bylibyśmy utopieni — stwierdził Travis, spoglądając na kurtynę wody spływającej ze wszystkich stron na ziemię. — Ludzie Driscolla zabrali ze sobą sprzęt na podczerwień i szerokozakresowe bolometry. Ale nawet przy ich pomocy, pomierzenie tej ziemi będzie trudnym zadaniem. Co u...

Statek zajęczał i zatrząsał im się pod nogami. Tak mocno nimi szarpnęło, że aż zagrzechotali zębami. Musieli złapać się kołyszących na wszystkie strony słupków, żeby nie spaść z kadłuba statku. Jednak trzęsienie ziemi, chociaż mocne, nie trwało długo. Zamarło po serii wstrząsających szarpnięć i wszystko się uspokoiło – ponownie zapanował senny spokój pluskającego deszczu i bulgocących kaskad wody.

— Zapisz w dzienniku czas wstrząsu — zawołał Travis przez właz do siedzącego na dole Lorimera.

— Gotów do jazdy — oznajmił Hartley, szybko wyrzucając trzęsienie ziemi z głowy i wracając do maszyny. — Przeprowadźmy tę pierwszą próbę od razu jak najdokładniej. Będą bardziej skłonni do przyjęcia uproszczeń w przyszłości, jeśli pokażemy im naszą dobrą wolę. Rozpocznię od podłoża wulkanicznego i wypełnię potem luki w miarę dalszej pracy. Do ich oznaczenia użyję czerni.

Travis napełnił pisaki pantografu smolistą substancją, która po wytryśnięciu szybko zastygała zmieniając się w ciemne szkło. To był symbol, oznaczający w ich kodzie granit. Dla innych rodzajów skał mieli inne kolory – ciemnoczerwony dla piaskowca, oliwkowo-zielony dla łupków, brudno-zielony dla wapieni, i tak dalej. Hartley włączył zasilanie.

Wykonanie podstawowej pracy zajęło Maggy godzinę. Ramiona pantografów przesuwają się w tą i z powrotem, zataczając coraz szersze łuki. Kierowane przez operatora, natryskiwały warstwy różnokolorowego plastiku na te położone wcześniej. Wszędzie tam, gdzie przeszkadzały wylewy zastygłej lawy – a było ich tak wiele – Hartley podnosił moc prądu, jakby chciał zmusić odporne promienie przyrządu do tego by przebiły skałę. Gdyby ustawił je stale na odbicie od bazaltu, wracałyby odbite od najbliższej położonej powierzchni. Wymagało to znacznych umiejętności i wiedzy, ale w końcu rezultaty zadowolili wszystkich.

To co otrzymywali w swoim pudełku, było szkieletem mapy, którą można by nazwać dioramą ich najbliższego otoczenia – a przynajmniej samego gruntu na którym wylądowali. Oglądając ze wszystkich stron kryształową skrzynkę można było zobaczyć jak głęboko leży podłoże magmowe, jak układały się spoczywające na nim warstwy skalne, gdzie tworzyły się ich zmarszczki, a gdzie się urywały. To było marzenie geologa, które zmieniło się w rzeczywistość. Gdyby interesowały ich jakieś rudy, wystarczyło tylko dostroić promieniowanie do odpowiednich ustawień i gładko wykreślić położenie ich złóż w dowolnym wybranym przez siebie kolorze. W obecnej postaci, na wypadek problemów z działką, sprawdzenie przy pomocy prostego odwiertu, w krótkim czasie mogłoby potwierdzić ich roszczenie.

Hartley zrobił sobie przerwę na papierosa, chociaż rozmokły tytoń nie palił się dobrze. Potem zmienił odrobinę ustawienia urządzenia o zagłębił się w pokrywę gleby i błota, okrywającej skaliste podłoże. Im bliżej morza, aluwialne osady robiły się naprawdę głębokie.

— Posłuchaj — powiedział Travis, — musimy najpierw przebadać poblizsze statku, ale co to jest ta rzecz, w tym miejscu?

Wskazał palcem na smukły, szpiczasty klin, leżący na boku, na powierzchni modelu. Był to klin pustki, w której nic nie zostało zarejestrowane. Poza dziwnym kształtem, osobliwe było również, że stanowił on dokładny odpowiednik stożkowej dziury w samym środku modelu. Dziura była efektem cienia rzucanego pionowo w dół przez ich statek, ponieważ żadna moc urządzenia nie była w stanie przepchnąć promieniowania magnetronów przez tak gęste stalowe stopy. Dlatego pantografy musiały w tym miejscu pozostawić nieregularny pusty stożek, zwieńczony przez podobne do cygara kontury statku.

Hartley przebadał nie wypełniony klin.

— To może być cień rzucany przez jakieś skały morenowe. Kto wie, może kiedyś w przeszłości istniały tutaj lodowce. Napełnię pisak czarnym pigmentem i przebadam go pod kątem granitu

Otrzymane rezultaty były zaskakujące.

— Zabawna sprawa — zmarszczył brwi Travis. — Żadne działanie lodu, czy wody, nigdy by nie zostawiło takich pozostałości, i nie wydaje mi się, żeby mogły tego dokonać normalne ruchy tektoniczne.

Przyczyną cienia był granit, ale w postaci w najwyższym stopniu nienaturalnej. Leżał on daleko od wszystkich innych występów skalnych i miał formę bardzo cienkich skalnych płyt. Na modelu w tej skali były grube jak kartka papieru, co oznaczało że w rzeczywistości nie przekraczały jarda grubości. Miały one mniej więcej dziesięciokrotnie większą szerokość i wszelkie możliwe długości, aż do kilkuset jardów. Nie tylko, że istnienie tego rodzaju płyt było sprzeczne z wszelkimi znanymi prawami rozszczepiania się granitu, ale także ich rozkład był wysoce nieortodoksyjny. Leżały z grubsza koniec w koniec, chociaż niewątpliwie nie zachowywały ciągłości, ponieważ miejscami były między nimi znaczne przerwy. Ogólny wzorzec miał charakter linii okrężnej, która czasami wiała się pomiędzy niskimi wzgórzami, a w innych wypadkach przechodziła prosto przez nie.

— Co o tym myślisz? — spytał Hartley. — Może to resztki jakiegoś starego muru, porzucane przez trzęsienie ziemi?

— Za cienkie na mur — wzruszył ramionami Travis. — Ale na razie to zostawmy. Kiedy rozszerzymy zakres badań, będziemy musieli się tam wybrać i rzucić na to okiem. Na razie zajmijmy się dokończeniem naszej mapy topograficznej. Światło robi się coraz gorsze, deszcz zaczyna być chłodny.

Hartley przestroił Maggy do analizy wód, i nieregularności w powierzchni Wenus szybko zaczęły wypełniać się czystym plastikiem.

Wąwozy zmieniały się w strumienie, zaś nieckowate zagłębienia w jeziora. Musieli koniecznie znać głębokość przeszkód wodnych, zanim zapuszczą się tam później łązikiem. Potem zaś, po wymianie pisaków, pantografy rozpoczęły szkicowanie kształtu szaty roślinnej, zaznaczając tylko to, co było zbudowane z celulozy. Lasy nabierały kształtu, ale nie jako skupiska poszczególnych drzew. Skala była na to zbyt duża. Pojawiały się jako masy zielonkawego szkła, albo tylko jako cienka warstewka, w miejscach porośniętych jedynie trawami.

— Hej! — zawołał Travis wskazując dłonią. — A co tam jest – kolejny cień?

Poruszające się ramiona pozostawiały wyraźny obszar pustki w kształcie litery V – zwężający się; na wpół stożkowy tunel wycięty w masie drzew, niczym nie wypełniony. Zdecydowanie był zbyt regularny, żeby mógł występować w naturze.

Jego wygląd zaintrygował Hartleya, ponieważ urywał się on w miejscu, w którym docierał do czoła płaskowyzu, który wcześniej odwzorował na mapie. Wskazywałoby to, że niewidoczna przeszkoda była bardziej miękka niż skały osadowe, a twardsza niż drzewo. Hartley poruszył pokrętem. Cień pozostawał. Poruszył innym pokrętem i zwiększył moc. Nic nie przechodziło. Cokolwiek to było, było niezwykle twarde.

— Statek! — stwierdził Travis, kiedy kontury tajemniczego cienia nagle zaczęły rysować się pod działaniem nieustannie pracujących pantografów. Było to coś w kształcie cygara, a obok niego widać było parę płaskich obiektów z tego samego materiału. Jego zarys był znajomy. To był „Pathfinder” Driscolla, a dwa towarzyszące mu obiekty, to były jego łąziki. Stal, z której były zbudowane, efektywnie maskowała to co leżało za nimi.

— Musiał dopiero co wylądować — stwierdził Hartley. — Nie mogło go być tam wcześniej, ponieważ nie naniósł bym na mapę w całości tego płaskowzgórza.

— Użył naszego namiaru, żeby zejść na dół, skunks jeden — ochryple stwierdził Travis i zatoczył się w stronę wjazdu.

— Co masz zamiar zrobić?

— Połączyć się z głównym arbitrem i złożyć protest.

Arbiter odpowiedział uspokajająco.

— Spokojnie, panie Travis – nie ma potrzeby się denerwować. Wenus jest duża. Niesamowicie duża. Wystarczy miejsca dla was obu. Sugerowałbym, żeby panowie nawiązali kontakt i doszli do porozumienia. Jeden z panów może udać się w jedną stronę, a drugi w drugą. Pomimo wszystko, pan Driscoll poniósł straszliwe straty w statkach oraz w ludziach, i może pan sobie pozwolić na okazanie odrobiny wielkoduszności. A jeśli już o tym mówimy, w regulaminie nie ma niczego, co by dotyczyło tego rodzaju konfliktu. Później może pan złożyć skargę do sądu, ale to już jest poza moją jurysdykcją. Ponadto żaden kawałek ziemi na Wenus jeszcze do pana nie należy – do czasu aż dokona pan odpowiednich pomiarów.

— Ale my je mamy! — upierał się Travis, z gniewem. — Mój partner i ja wynaleźliśmy przyrząd, który potrafi wykonywać mapy w zupełnej

ciemności, a nawet przez bariery z ciał stałych, jeśli już o tym mówimy. To właśnie w ten sposób odkryliśmy to naruszenie. Domagam się...

— To śmieszne — odparł dosadnie arbiter. — Moi asystenci donieśli mi o panujących tam na dole warunkach. Skarga odrzucona.

Kliknięcie rozłączanego połączenia wprawiło Trvisa w stan wściekłej furii. Głupia decyzja arbitra nie była oczywiście ostateczna, Przekazanie mapy powinno mu wykazać popełniony błąd. Jednak najście Driscolla nie było tylko niesportowym zachowaniem, ale miało złowieszczy wydźwięk. Ponieważ miał on za sobą siłę i był na tyle sprytny, by wyzyskać każdy techniczny szczegół. Już wystarczająco złe mogłoby się okazać, gdyby go mieli po drugiej stronie planety, ponieważ wcześniej czy później musieliby się spotkać. Ale wplątanie się w konflikt na samym początku, było fatalne. Naprawdę fatalne.

Travis podszedł do sejfu i wyciągnął regulamin. Przejrzał go, ale w końcu musiał przyznać, że arbiter częściowo miał rację. W interesującej go kwestii regulamin milczał. Wszystko zależało od jakości wykonanych pomiarów. Miało wygrać najlepiej udokumentowane zgłoszenie, niezależnie od pierwszeństwa. Travis odrobinę się odprężył. Na tym polu Maggy powinna bez trudu wygrać z prymitywnymi metodami bolometrycznymi, które prawdopodobnie stosował Driscoll. Hartley zgodził się z jego decyzją, aby na razie zignorować Driscolla i zająć się swoją robotą.

— **J**utro — oznajmił Travis tego wieczora, kiedy cała trójka razem jadła kolację, — schowamy mapę topograficzną do ładowni, rozmontujemy Maggy i przesuniemy się na kraniec obszaru, który na zrobiliśmy, żeby dodać kolejny fragment, poczynszyszy od tamtego miejsca. Lorimer musi zostać tutaj, i utrzymywać komunikację z zewnątrz. Będziemy się z nim stale kontaktować przy pomocy naszych walkie-talkie.

Lorimer skinął głową na zgodę. W tym momencie Travis nagle usiadł zupełnie prosto.

— Psst! Czy słyszycie to co ja?

Z zewnątrz dobiegał szum i plusk deszczu, który nigdy nie przestawał padać, ale przebijał się przez niego jakiś silniejszy odgłos – łoskot i zgrzyt ciężkich kół i bulgotanie, jakby ktoś wydmuchiwał powietrze przez na wpół zanurzoną w szlamie rurę. Zbliżał się łazik. Po chwili usłyszeli pokrzykiwania, słabe i niezrozumiałe. Odgłos jadącego łazika stawał się coraz głośniejszy, a potem umilkł. Ktoś zabębnił w kadłub.

— Hej, tam na statku – statek, ahaj — po raz kolejny dobiegły pokrzykiwania. Travis wstał ze zmarszczonymi brwiami i splunął pogardliwie. Głos należał do Driscolla.

W świetle prawa międzyplanetarnego nie mógł przybyszowi zabronić wejścia do na pokład, ale po otworzeniu wjazdu powitanie Trvisa było lodowate.

— Nie mogę pana zatrzymać na zewnątrz — oświadczył, — ale pańscy goryle zostają w łaziku.

Zamknął właz przed nosem czterech potężnie zbudowanych mężczyzn, których Driscoll zabierał zawsze ze sobą, kiedy odwiedzał którąś z obcych planet.

— A teraz, czego pan sobie życzy?

— Ja? — roześmiał się Driscoll, ze swobodną uprzejmością. — Ja osobiście, nic. Chciałem tylko sprawdzić, czy nie macie jakichś kłopotów, i tyle. Wie pan, jesteśmy w paskudnym miejscu.

— Doskonale pan wie, że u nas wszystko w porządku — poważnie odparł Travis. — Przyleciał pan za nami, korzystając z naszego zamiaru i bez wątpienia przez cały czas nas podsłuchiwał. Proszę przestać krążyć wokół tematu i przejść do celu sedna sprawy.

Driscoll uniósł brew w lekkim zaskoczeniu.

— Pańska wrogość mnie zdumiewa. Jednak rzeczywiście jest również inny cel mojej wizyty. Mój arbiter pomocniczy beztriosko wybrał się w drogę bez dostatecznego zapasu formularzy zgłoszeniowych. Prosił mnie, abym spytał pańskiego człowieka, czy nie mógłby mu kilku przekazać.

Travis w milczeniu wskazał na Lorimera, który wstał i poszedł do swojej kajuty. Odprowadziło go spojrzenie stalowych oczu Driscolla. Nie było widać, żeby sobie coś przekazali poza plikiem urzędowych formularzy, ale były podstawy do tego by wszystkiemu co robił Driscoll przyglądać się z najwyższą podejrzliwością. Driscoll wsadził do kieszeni formularze i wygłosił wylewne podziękowania dla wszystkich, ale kiedy już zabierał się do wyjścia dodał jeszcze:

— Kiedy już tu przyjechałem, moglibyśmy może przedyskutować nasze relacje na przyszłość, ponieważ jak się wydaje, tylko my zdołaliśmy się przedostać na powierzchnię.

— W końcu przeszliśmy do sedna — oznajmił Travis, lekko się krzywiąc. — Karty na stół.

Obaj partnerzy słuchali z kamiennymi twarzami jak finansista roztacza piękne perspektywy. Wenus, jak oznajmił słodziutkim tonem, jest zbyt wielka aby można było ją eksploatować bez odpowiednich środków... trzeba wybudować porty kosmiczne, zainwestować ogromne kapitały w sam transport... właściwe wykorzystanie olbrzymich zasobów wymagać będzie armii techników i astronomicznych ilości wyspecjalizowanego sprzętu. Zwykli pionierzy nie poradzą sobie z tym problemem. Zrobią tylko mnóstwo zamieszania, spowalniając działania innych.

— W porządku — warknął Travis. — No to, spowolnimy. To nasze prawo.

Driscoll nie okazał gniewu. Popatrzcie tylko na historię tego rodzaju przedsięwzięć, cierpliwie tłumaczył. Czy kiedykolwiek pionierom udało się zarobić na swoich potencjalnych możliwościach? Czy nie lepiej byłoby przyjąć zaszczyt przetarcia drogi, a potem usunąć się wspaniałomyślnie na łatwiejsze pola? Czy milion walorów nie byłoby odpowiednią kwotą? To jest, dla każdego? Nie? Pięć milionów? Dziesięć? Dziesięć milionów walorów to mnóstwo pieniędzy. Wobec tego, ile? Nie chcą przecież chwytać za gardło rasy podbijającej nowy ład. Powinni stać się współnikami wielkiej kompanii, wnosząc do spółki swoje prawa. Oprócz

pieniędzy mogliby dodatkowo otrzymać pakiety akcji. Dlaczego nie chcą tego zrozumieć.

— Zajmuje pan nasz czas — ziewnął sugestywnie Travis. — Mieliliśmy ciężki dzień. Dobranoc.

Driscoll nie zrzucił maski śliskiej łagodności, ale kiedy pochylił się wychodząc, w jego oku pojawił się złowrogi błysk.

— Nigdy nie składam oferty więcej niż raz — powiedział.

— Uczciwe postawienie sprawy — odparł Travis i przekręcił z trzaskiem zamek.

Obudziło ich trzęsienie ziemi. Miało miejsce w środku nocy, zaledwie jedenaście godzin po popołudniowym wstrząsie. Hałas na statku był olbrzymi, ponieważ każdy niezamocowany przedmiot walił o wszystko co było obok niego. Przyćmione światła nocne rozbłyskiwały zapalając się i gasnąc, a łóżka gwałtownie się przechylały.

— Lepiej wyjdźmy na górę i sprawdźmy Maggy — powiedział Hartley, mrugając. — Obudzę Lorimera, żeby nam pomógł.

Ale Lorimera nie było łóżku. Znaleźli go na płycie dachowej, ponieważ nie stracili nawet chwili czasu, pędząc na górę kiedy zobaczyli że właz jest otwarty. Jako pierwszy dotarł tam Travis. Przepchnął się przez właz i wyszedł ze słupa światła, strzelającego w górę w mgliste opary nocy. Światło jego latarki omiotło dach, ujawniając zniknięcie magnaru i dioramy, chociaż słupki mocujące ciągle kołysały się pod brezentem. Izolowane przewody elektryczne leżały na lekko zakrzywionej płycie dachu, ale kończyły się postrzępione, jakiś jard dalej. Dach był zupełnie pusty, poza zaskoczonym mężczyzną w nocnym ubraniu, mrużącym oczy w świetle latarek.

— Ja... wszedłem na górę, żeby zabezpieczyć sprzęt, który tu zostawiliśmy — wyjąkał Lorimer. — I... nie ma go tutaj!

— Widzimy, że go nie ma — ponuro stwierdził Travis. Opuścił promień latarki na płyty kadłuba. Ozdobione były paciorkami wilgoci i poznaczone strumykami spływającej wody, ale szeroka, błyszcząca smuga wskazywała miejsce w którym ześlizgnęło się coś ciężkiego.

— Musimy wziąć pod uwagę możliwe kolejne trzęsienia. Mogą mieć okresowy charakter — powiedział. Jego głos brzmiał ochryple, ale był absolutnie spokojny. Nie było w nim nawet śladu wyrzutu ani konsternacji. — Teraz jest za ciemno, żeby ocenić szkody. Wracajmy do łóżek.

Na dole, Hartley ostrożnie zamknął za nimi drzwi do ich kajuty.

— Przyjąłeś to bardzo spokojnie.

— A czemu nie? — spytał znużonym głosem Travis. — Oczywiście, że ten szczur zepchnął to na dół, ale na to nie ma nawet cienia dowodu. Powodem mogło być trzęsienie ziemi, przecież wiesz. Ale wszystko to może nam posłużyć jako wskazówka, czego możemy się spodziewać.

— Na przykład?

— Tego że przygotowania Driscolla do pomierzenia tego przeklętego mglistego zadupia, nie są wcale tak bardzo intensywne... że Lorimer bez

wątpienia jest na jego liście płac, i że poinformował go o fenomenalnym działaniu Maggy... Że ten arbiter, tam na górze, prawdopodobnie nie jest jego człowiekiem, a tylko głupcem. W przeciwnym razie Driscoll nie brnąłby do nas po pas w błocie, żeby złożyć nam te fantastyczne oferty. Po jego propozycjach domyśliłem się, że się nas obawia, ale nie myślałem, że zacznie tak szybko działać. Zrobił to też bardzo sprytnie. Nasze dowody, to tylko przypuszczenia, które zostałyby wyśmiane przez każdy sąd na świecie.

— A więc, uważasz, że jesteśmy ugotowani?

Travis odpowiedział krótkim, twardym śmiechem.

— Po tym, jak rano wykopiemy Maggy z błota, powiem ci więcej. Na razie nie ma sensu martwić się na zapas.

Żaden z nich jednak nie zasnął od razu. Travis czuł częściową ulgę, że zadany został pierwszy cios. Teraz, to już była wojna na całość, chociaż zawoalowana. Pomogło to rozwiać wątpliwości i opory moralne. Ani Travis, ani Hartley nie przybyli na Wenus gnani chciwością. Ich motywami były odmienne – mieszanka ciekawości naukowej, dumy ze swej wspaniale działającej maszyny, i do pewnego stopnia żądza przygód. Mgliście za tym wszystkim stało przekonanie, że rasa ludzka musi sobie znaleźć nowe granice do pokonania, albo się zadusić. Potrzebowali pieniędzy, to jasne, tak jak wszyscy, ale tylko w rozsądnych ilościach. Zaś chciwość Driscolla była tego rodzaju, że pomimo wszystko próbował ich przekupić. Jedyna odpowiedź, jaką ten szwindler zrozumie, musi być podobnego rodzaju. Jego kłamstwa i sabotaż wymagały skontrowania przy pomocy uderzeń, które go najbardziej zabolą – w portfel. Travis rozmyślał trochę na ten temat, coraz bardziej drzemając, aż w końcu zapadł w sen.

Skala ich strat stała się widoczna dopiero dobrze po zakończeniu smutnego, powoli się rozwijającego, poranka. Kawałki dioramy znaleźli głęboko w mule koło statku. Rozleciała się ona na trzy duże kawałki, ze sterczącymi paskudnie postrzępionymi odłamkami. Z ponurą miną Hartley wyszukał wszystkie części jakie się dało, i obmył je z błota. Poza paroma niewielkimi odłamkami, nieodwołalnie utraconymi, dało się je razem poskładać i ponownie skleić w nadającą się do użytku mapę. Z Maggy, która leżała pod spodem, sytuacja była odmienna – nie dało jej się uratować.

Musiała spaść jako pierwsza, i potem przyjęła na siebie uderzenie ciężkiej masy szkła. Jej unikalne lampy i delikatne uzwojenia zostały beznadziejnie rozbite. Mieli na pokładzie pewne części zapasowe, żeby naprawić niektóre uszkodzenia, ale pełne odtworzenie przyrządu, wymagało powrotu na Ziemię. Nie mogli sobie na to pozwolić. Odłot teraz, mógł zaprzepaścić wszystko to, co do tej pory osiągnęli.

— Jesteśmy załatwieni — ponuro stwierdził Hartley.

— Człowiek nigdy nie jest załatwiony, dopóki sam nie przyzna przed sobą, że to prawda — przypomniał mu Travis. — Ciągle mamy helio-, bolometry, i do tego parę innych sztuczek w rękawie.

— Takie jak?

— Mam pewne przeczucia, chcę zagrać. Porozmawiamy o tym później.

Zabrali model topograficzny do środka i zreperowali go. Potem zrobili jego zdjęcia i zamknęli go bezpiecznie w ładowni. Maggy ze smutkiem schowali do pustej skrzyni. Przewaga, jaką im dawała, zniknęła. Od tej pory, musieli zacząć badać Wenus w trudniejszy sposób.

— Hartley, załaduj nasze rzeczy do łazika i rozgrzej silnik.

Potem Travis połączył się przez radio z głównym arbitrem. Rozmawiał z nim spokojnym tonem, ale postawił stanowcze żądania. Arbitr ma pewne obowiązki i powinien je wykonywać. Stratosfera nie była odpowiednim miejscem do tego. Powinien sprowadzić swój statek na powierzchnię i ustawić go pomiędzy obydwoma konkurentami. Travis opowiedział następnie o ataku paniki Lorimera podczas lądowania na planecie i jego późniejszym „beztroskim” wyrzuceniu za burtę sprzętu, jednocześnie ostentacyjnie udając, że próbuje go zabezpieczyć. Zażądał natychmiastowej wymiany Lorimera i straży do pilnowania statku, ponieważ zamierzał opuścić jego pokład, aby wykonać niezbędne prace w terenie. Nie ma zamiaru spokojnie się przyglądać, jak ktoś mu wbija nóż w plecy, kiedy go nie będzie. Zakończył, przypominając arbitrowi, co się stało z pewnymi niedbałymi arbitrami po skandalach na Marsie. Arbitr wybuchnął pełnym oburzenia gniewem, ale oznajmił że przybędzie na powierzchnię.

Godzinę później Travis i Hartley jechali ślizgającym się, chlapiącym na wszystkie strony łazikiem. Travis uśmiechnął się szeroko, przypominając sobie reakcję arbitra, kiedy pokazali mu mapę. Człowiek ten szczerze wierzył w to, że niemożliwe było, aby mogli osiągnąć tak dużo, w tak krótkim czasie. Pod wieloma względami, był on po prostu zwykłym, prostodusznym urzędasem, bardziej przerażonym możliwością naruszenia najdrobniejszej literki w swoich przepisach, niż czymkolwiek innym. Był słaby i niezbyt bystry, ale nie był skorumpowany. Mogli ze sporą dozą zaufania ruszyć we mgłę, pozostawiając go za plecami jako bufor, ponieważ przed wyjazdem dopilnowali, żeby przesłał na Ziemię kompletny raport z postępu prac, na tę chwilę.

— Ciągle nie mam pojęcia, po co chcesz tam jechać — powiedział Hartley, wpatrując się w brudno-żółtą mgłę, która zastąpiła deszcz. To on prowadził pojazd. Jako mapa, służyło mu zdjęcie modelu, a żyrokompas ustawiony został na arbitralną linię wyjściową, nazywaną „pseudo-północą”. Ominął jeden z niezliczonych stawów i wrócił na poprzedni kurs. Prowadził on prosto do najbliższej części dziwnie pokręconego układu granitowych płyt.

— Zobaczysz — odparł Travis radośnie. Był mniej przygnębiony rozbiciem Maggy, niż jego partner. — Myślałeś, że te odłamy granitu to resztki muru. Być może, ale moja teoria polega na tym, że są to pozostałości drogi. Nasi przodkowie zbudowali parę całkiem niezłych dróg. Możliwe więc, że i ta planeta ma jakichś mieszkańców, albo miała kiedyś. Gdyby okazało się to prawdą, i ten długi rząd połamanych płyt

rzeczywiście jest drogą, musimy tylko podążać nią w miejsce, do którego prowadzi, i może uda nam się wpaść na coś, co będzie nam pomocne.

— Tak, jednak nadal nie rozumiem... — oponował Hartley, ciągle zaintrygowany, ale nagle musiał ostro zahamować.

Przebijali się przez gigantyczne trawy, które rosły w gęstych kępach na niewysłowione wysokości ponad ich głowami, ale co jakiś czas widoczność zadziwiająco się poprawiała. Były chwile, kiedy widzieli wszystko nawet na odległość pięćdziesięciu stóp. I właśnie w takim momencie dostrzegli leżącą przed nimi jedną ze starych płyt.

Była mocno przechylona i pokruszona przez łodygi bambusowatych krzewów, które ją przewróciły, ale oczywiste było, że domysły Trvisa trafiły w samo sedno. Pomimo oślizgłego mchu, który porósł jej płaską, skośną powierzchnię, nie sposób było nie zauważyć na niej dwóch głębokich brzd – dwu równoległych wyżłobień, śladów pozostawionych na twardej płycie drogi, przez pokolenia jeżdżących po niej, okutych metalowymi obręczami kół wozów. Odległość między śladami wynosiła tuż poniżej sześciu stóp, wskazując, że niezależnie od tego jakie pojazdy je wykonały, nie różniły się one specjalnie rozmiarem od używanych przez ludzi.

— To jest to! — oznajmił Travis tryumfalnie. — Teraz w końcu do czegoś dojdziemy. Czy pamiętasz, tę chwilę, kiedy podczas naszego lądowania Lorimer oszalał i wyłączył nam widoczność? Przyglądaliśmy się wtedy skałom o dziwacznym kształcie, na wierzchołku jednego z płaskowyży. Według mnie, wyglądały one jak ruiny miasteczka. Jeśli tak było, to nie może to być daleko stąd. W każdym bądź razie, droga zawsze prowadzi skądś, dokądś. Jedź w prawo i zobaczymy dokąd nas to zawiedzie.

Ruszyli więc tym śladem. Często tracili ślad drogi, ale jak na razie mapa zawsze ich na nią z powrotem wyprowadzała. Kiedy Hartley siłował się z kierownicą łazika, Travis rozpakował parę ze swych przyrządów.

— Musimy zrobić parę pomiarów. Wystarczy tylko się trochę rozejrzeć, żeby było widać jakie to trudne. Obserwacje astronomiczne albo triangulacje w taki sposób, jak to było robione na Ziemi, nie wchodzi w rachubę. Pracujemy w ośrodku, gorszym nawet niż zupełne ciemności. To oznacza, że będziemy musieli triangulować przy pomocy namiarów cieplnych wykonywanych przez bolometry, radarów lub urządzeń supersonicznych, a to bardzo toporne metody. Źródła ciepłe są na ogół duże, a nie punktowe, tak jak świetlne. Fale radarowe dają z definicji bardzo rozmyte wyniki, chyba że cel namiaru zbudowany jest z metalu. Naddźwięki są kompletnie niewiarygodne w tak wilgotnej atmosferze jak ta. Teraz, kiedy Maggy nie działa, trzeba będzie zrobić co się da, i to musi być coś lepszego niż robi Driscoll.

— Tak? — zapytał Hartley, skręcając ostro, aby uniknąć wjechania w potężny gejzer, który wyłonił się przed nimi. Był to jeden z całego szeregu, które wypluwały z siebie z rykiem wrzącą wodę, w i tak już przesycone wilgocią powietrze. Łazik zapadł się w bagnisko. Potem musieli zatrzymać się na kilka kolejnych chwil, przeczekując jedno z cyklicznie

powtarzających się trzęsień ziemi. Jednocześnie w ich uszach zahuczał grzmiący ryk jakiegoś odległego krateru, który właśnie wkroczył do akcji.

— Co za planeta! — zazgrzytał zębami Hartley, trzymając się kurczowo kierownicy wierzgającego pojazdu. — Kiedy przeprowadzisz pomiary, co ci to właściwie da? Założę się, że cała masa szczegółów topograficznych pojawia się i znika w ciągu jednej nocy.

— Niewykluczone — przyznał Travis, nie zbity z tropu. — Co tylko czyni jeszcze bardziej potrzebnym, żebyśmy mogli określić nasze położenie geograficzne – przy pomocy szerokości i długości – jeśli da się to zrobić. I tak już jest trudne, że zostaliśmy tylko z pomiarami bolometrycznymi. Jak dobre one będą, to zależy w większości od tego, jak dokładnie zostanie wyznaczona nasza linia odniesienia. Tam w dżungli, gdzie wylądowaliśmy, i gdzie ciągle jest Driscoll, samo jej wyznaczenie w gęstwinie tych ogromnych drzew, mogłoby zająć nawet i rok. A ciągle trzeba byłoby jeszcze oznaczyć końce tej linii jakimiś dobrze określonymi znakami granicznymi. A przecież miasta są znacznie wyraźniejszym punktem orientacyjnym niż drzewa, jeziora, czy szczyty górskie, i jeśli uda nam się tu jakieś znaleźć, będziemy mili gotowe punkty narożników dla naszych granic. Nie tylko to, miasta dają obietnicę innych korzyści – miejsc ukrycia pradawnych skarbów, jeśli miasta są martwe, jak to zdaje się wskazywać stan tej drogi.

Hartley skinął na zgodę głową. W międzyczasie dotarli do punktu, poza którym mieli wyjechać poza granice mapy stworzonej przez ich Maggy.

— Po prostu, jedź cały czas śladem tej drogi — powiedział Travis.

Stale wspinali się pod górę. Po pewnym czasie zarośla bambusowe zaczęły robić się trochę rzadsze. Nie były również już takie gigantyczne, a wisząca w powietrzu wilgoć zaczęła stawać się nieco chłodniejsza, co wskazywało że nabierają wysokości. Gęste opary lasy zostały zastąpione przez chłodne, wirujące mgły płaskowyżu. Lepiej się jechało, a nawet lepsza była widoczność w każdym kierunku.

— No to, jesteśmy — stwierdził w pewnej chwili Hartley, skręcając, by zatrzymać się w szczelinie we mgle, która pokazywała, co leżało przed nimi. — Z tego co widać, te ruiny wydają się równie martwe jak Babilon.

W poprzek drogi stał wysoki, zwieńczony blankami mur, spowity pasemkami wczepiającej się w niego mgły, z przerwą w postaci pojedynczej bramy z wieżą. Po lewej stronie jego część przewróciła się i leżała zwalona bez ładu w czymś co mogło być fosą, zaś odłamki gruzu na w pół wypełniały dolną część bramy. Hartley jednak krótko zmierzył wzrokiem leżący stos, wrzucił bieg i zaczął na niego wjeżdżać. Po chwili przedostał się przez względny półmrok pod łukiem bramy i gąsienice łożnika zaklekotały na ulicach martwego miasta.

— Przecież to miasto jest na w pół pogrzebane – jak antyczne Pompeje — wykrzyknął Travis, wskazując ręką. Po obu stronach widać było rzędy budynków, których dolne piętra tonęły w mieszaninie błota i gruzu, sięgającej podstawy wyżej położonych okien. — To mury miejskie pomogły zatrzymać w środku osady, które w innym wypadku deszcze zmyłyby już dawno temu. Trudno powiedzieć, co znajdziemy, kiedy zaczniemy tu kopać.

Kontynuowali dalszą eksplorację. Było to całkiem spore miasteczko, z wieloma budynkami wymagającymi poważnych prac murarskich, ale było ono wymarłe już od bardzo, bardzo długiego czasu. W samym jego sercu znaleźli wielki otwarty plac, na środku którego sterczała górna część czegoś w rodzaju piramidy.

Piramida była sześcioboczną konstrukcją, dziwnie ściętą od góry. Obślizgły mech pokrywał jej większą część, ale w przerwach między nim znaleźli wygodne uchwyty dla rąk i udało im się wspiąć na jej wierzchołek. W jego pochyłej powierzchni, znaleźli okrągłą dziurę, o średnicy stopy, jedyne widoczne wejście, ale kiedy przykucnęli nad nim i zajrzeli do środka, świecąc promieniami latarek, ujrzeli tylko olbrzymie pomieszczenie, na wpół wypełnione cuchnącą wodą deszczową.

— No cóż — oznajmił ożywiony Travis, prostując plecy, — wygląda jakbyśmy coś mieli. Wezwij arbitrów przez walkie-talkie i powiedz im, że ustanowiliśmy naszą wysuniętą bazę, ale nic więcej. Zrozumiałeś?

Kolejne dni, wypełnione były intensywnymi pracami eksploracyjnymi. Przedostawali się na wyższe piętra zagrzebanych budynków i przekopywali popiół wulkaniczny i błoto, które je wypełniały. Znajdowali zaryglowane drzwi, które trzeba było pokonywać siłą, ale za którymi odkrywali przejścia prowadzące do podziemnych części domów, gdzie skazani Wenusjanie uciekali w popłochu, kiedy spadła na nich zagłada.

Biorąc pod uwagę wszechobecną wilgoć, to co znaleźli zachowało się w zaskakująco dobrym stanie. Samej katastrofie musiało towarzyszyć fala suchego gorąca, ponieważ zwłoki wenusjańskich istot wyschły do stanu mumii, łatwych do badań. Wenusjanie byli z znacznym stopniem antropoidalni, różniąc się od ludzi głównie tym, że byli wyżsi, smuklejsi i mieli po sześć palców u rąk i nóg. Obok nich znajdowali mnóstwo artefaktów najróżniejszego rodzaju, włączając w to broń i broje. Broje były niesamowicie bogate, w wielu wypadkach zrobione z twardej damasceńskiej stali, inkrustowanej złotem i srebrem, całe wysadzone klejnotami rzadkiej czystości i koloru. W ciągu jednego dnia znajdowali bogactwo w pełni satysfakcjonujące największych chciwców.

Travis wkrótce zostawił prace nad katalogowaniem znalezisk archeologicznych Hartleyowi. Teraz, kiedy natknęli się na to starożytne miasto, paląco niezbędne stało się, wyznaczenie działki, która oparłaby się jakimkolwiek machinacjom ze strony hordy Driscolla. Dlatego przygotował swoje przyrządy i rozpoczął cierpliwe zbieranie podawanych przez nie danych.

Rozproszenie światła i ciepła, było praktycznie doskonałe, i nieuzbrojone oko nie było w stanie dostrzec niczego więcej niż tylko najbardziej ogólnego miejsca wschodu i zachodu słońca, czy też jego drogi po niebie. Jednak helio było przyrządem o dużej dokładności i Travis uważał, że zdołał określić położenie słońca, z tolerancją stopnia lub dwóch. Odczyty bolometru były mniej satysfakcjonujące, ponieważ największe zapisywane wartości ciepłoty występowały wczesnym popołudniem, ale

między nimi był w stanie tylko z grubsza określić kiedy miało miejsce południe i mniej więcej na jakiej wysokości stało wtedy słońce. Czas wschodu i zachodu pozostawał nieokreślony, z powodu braku możliwości ustalenia położenia horyzontu, a więc nie potrafił nawet powiedzieć jaka była faktyczna długość dnia. Jednak południa i odstępy między nimi, oraz regularność występowania pływowych trzęsień ziemi, dały mu średnią długość dnia. Wenus wykonywała obrót wokół swej osi raz na dwadzieścia dwie godziny i parę minut.

Był to pewnego rodzaju sukces.

— Jesteśmy mniej więcej na sześćdziesiątym piątym stopniu szerokości geograficznej — obwieścił radośnie Hartleyowi.

— Taa. A jaka jest długość?

— Zero - sto - jakkolwiek chcesz — uśmiechnął się szeroko Travis. — Długość geograficzna ma charakter całkowicie arbitralny. Pierwsze mapy, u nas na Ziemi, używały jako punktu startowego najdalej na zachód położonej części Azorów, ponieważ wszyscy myśleli że świat zaczyna się właśnie tam. Później Amerykanie wykorzystywali Waszyngton, Francuzi Paryż, i tak dalej, dopóki wszyscy nie porozumieli się, co do Greenwich. Tak naprawdę, nie ma to większego znaczenia. Trzeba to ogłosić, i ten kto będzie najgłośniej krzyczał, wygrywa.

Radość Trávisa była jednak krótkotrwała. Jego obliczenia były przybliżone, ale widać w nich było wyraźny trend. Każdego dnia, wysokość Słońca w południe była większa niż dzień wcześniej. Oś Wenus była nachylona w stosunku do ekliptyki. Na planecie istniały więc pory roku. Słońce wznosiło się coraz wyżej na niebie, co oznaczało, że mają wiosnę. Travis jęknął. Można było tego się spodziewać, ale mimo wszystko był to wstrząs. Musiałby śledzić położenie tego niemalże nierozpoznawalnego obszaru światła przez pełny wenusjański rok – dwieście dwadzieścia pięć dni ziemskich – żeby ustalić pełną krzywą. A ponadto trzeba było kolejnego roku czy dwóch, żeby upewnić się, czy miał rację. Było to zbyt długo. Driscoll pobiłby go z kretesem, przy pomocy badań gorszej jakości. Gdy dokumenty zostaną wystawione, klamka zapadnie.

Zmarszczył brwi, kiedy pomyślał o kolejnym problemie. Mógł otrzymać lepszą mapę topograficzną, dzięki określeniu szerokości geograficznej, ale w tej chwili jego oszacowanie szerokości geograficznej było przybliżone. Dokładność mniej więcej stopnia, była niewystarczająca. Prawdopodobnie prowadziła ona do błędu rzędu setek mil. Była to strata czasu. Lepiej zostawić w spokoju te nonsensy i zaprząć do pracy wolniejszy, ale pewniejszy sposób, oparty na stopniowo rozszerzanej triangulacji. I właśnie kiedy udał się z tymi wieściami do Hartleya, ten przekazał mu lepsze nowiny.

— Posłuchaj — oznajmił, — dzisiaj znalazłem ten obrazek w piwnicy jednego z domów. Powinniśmy mieć możliwość dostania się do tej piramidy.

Pokazał mu cienki arkusz z brązu, na którym wygrawerowany był widok centralnego placu. Kreski były bardzo cienkie, jakby czymś wytrawione, i przedstawiały wielki plac tak, jak musiał on wyglądać w dniach swej największej chwały. Na rysunku dominowała ogromna

piramida, a wokół niej na placu, roiły się tłumy ludzi, trzymających ręce w górze, wyraźnie w błagalnym geście. Na pochyłej platformie, powstałej po ścięciu wierzchołka, stała grupa, najprawdopodobniej kapłanów, spoglądających w dół na rozpościerające się u ich stóp tłumy. Był to wyraźnie dzień jakiegoś wielkiego święta, ale najistotniejsze było to, że obrazek pokazywał dużą, prowadzącą do piramidy bramę, na poziomie ulicy. Jej szerokie wrota były otwarte na oścież, a mężczyźni i kobiety wlewali się do środka budowli.

Travis uważnie przyjrzał się wygrawerowanemu rysunkowi. Wielkie wrota zaznaczono na nim tak, jakby znajdowały się na przedzie piramidy, bezpośrednio pod najniższym punktem ściętego sklepienia. Było to ogromnie pomocne.

— No cóż — stwierdził. — Wiemy więc, gdzie kopać. Bierzmy się do roboty.

Przekopywanie twardego, zbitego błota było ciężką pracą, ale szczęśliwie, nie trwało zbyt długo. Przyśpieszyli kopanie, konstruując lemiesz i wykorzystując łazik do jego ciągnięcia. Na koniec użyli również swego masywnego pojazdu do staranowania ciężkich, odlanych z brązu skrzydeł wrót, ponieważ były one zamknięte od środka. Brama runęła z trzaskiem i łazik wtoczył się do mrocznego wnętrza. Zatrzymali się i zaczęli świecić dokoła reflektorem.

— To świątynia, nie grobowiec — stwierdził Hartley.

Było to ogromne, prostopadłościennym pomieszczenie, pozbawione jakiegokolwiek umeblowania, poza wysokim ołtarzem, do którego prowadziły szerokie schody. Ponad ołtarzem wznosił się pylon, którego czoło lśniło jak słońce, ewidentnie szczerym złotem i bogatymi zdobieniami z drogich kamieni. Wokół ołtarza stała para waz, a na podłodze widać było rozbite resztki kolejnych. Wylewały się z nich stosy klejnotów, najrozmaitszych kolorów, które skrzyły się jaskrawo w snopie światła.

Travis przejechał reflektorem wokół pomieszczenia, omiatając nim ściany. Po obu stronach pylonu widać było ogromne, wytłoczone znaki języka wenusjańskiego, a wokół całego pomieszczenia biegł szeroki fryz, pokryty ornamentami w kształcie przeplatających się sześciokątów i dwunastokątów. Każda stopa kwadratowa ścian poniżej niego, pokryta wyrafinowanymi mozaikami. Tematem większości z nich były bitwy, potwierdzające opinię, do której doszli już wcześniej, że Wenusjanie byli wojowniczymi ludźmi. Jedna wielka mozaika przedstawiała ceremonię, wyglądającą na koronację. Najwięcej informacji, dostarczył im jednak ostatni obrazek, na który natrafili.

Mozaika ułożona była z ciemnoniebieskich szklistych płytek i błyszczała diamentami porzrzucanymi w formie malutkich srebrnych świecących punkcików. Przez jej środek przebiegała falista linia wąskiej złotej wstążki, w najwyższym punkcie ozdobiona symbolem słońca.

— Niech mnie diabli wezmą! — wykrzyknął Travis. — Mapa nieba! Mam tylko nadzieję, że ktokolwiek ułożył tę trajektorię ruchu słońca, był astronomem, a nie artystą — i pośpiesznie przygotował aparat.

Gruntowne przeszukanie piramidy, zajęło im wiele godzin. Korzystając z kręconych schodów, kryjących się za pylonem, weszli na wyższe poziomy; każdy z nich był mniejszy niż ten piętro niżej. Większość z pomieszczeń służyła jako kwatery mieszkalne kapłanów, znaleźli też parę ciemnych cel dla przeznaczonych na ofiary więźniów. Pewnego dnia archeolodzy przetłumaczyły znajdujące się w nich hieroglify i dowiedzą się, co ci, którzy mieli wkrótce umrzeć wyskrobali na ścianach. Znaleźli też kolejne stopy skarbów, ale największym ze wszystkich była biblioteka. Znajdowało się w niej mnóstwo zwojów, większość z nich nadal w zapieczętowanych woskiem tubach. Ich treść przeważnie była niezrozumiała, ale odłożyli do dalszych badań te wyposażone we wskazówki, takie jak ilustracje, czy diagramy.

Najwyższy poziom był zamknięty przez kolejne wrota z brązu, które oparły się ich wszystkim wysiłkom. W końcu musieli przynieść z łoża dynamit i założyć ładunki. Dobrze że znaleźli sobie odpowiednią kryjówkę, piętro niżej, ponieważ następstwa wybuchu były dosyć niespodziewane. Po schodach runęła rwąca rzeka zebranej za drzwiami wody, rozplywając się po podłogach położonych niżej pomieszczeń. Po chwili skurczyła się ona do strumyczka i weszli na górę po śliskich, pokruszonych stopniach, aby obejrzeć najwyższe piętro.

Tutaj znaleźli kolejny pylon, ozdobiony znakiem słońca, chociaż mech wyrastający z zebranej w pomieszczeniu wody pokrywał niemal całkowicie płaski kamienny ołtarz, lekko oświetlony blaskiem wpadającego przez dziurę w suficie światła słonecznego. Travis obrócił dokoła reflektorem. Wczepione w ścianę algi wskazywały wysoko w górze, poziom do którego sięgała woda. W rogach pomieszczenia stały jakieś dziwne przyrządy głęboko nadzarte zieloną wilgotną patyną. Okazały się to być astrolabia, oktanty oraz instrumenty pomiarowe o dziwacznej budowie, a jeden z nich wyposażony był w prymitywne soczewki krystaliczne.

Travis i Hartley stali przez dłuższy czas w głębokim zamyśleniu, mierząc okiem pomieszczenie i próbując wyobrazić sobie obrzędy, które tutaj przeprowadzano.

— Wydaje mi się, że zaczynam to wszystko ogarniać — nagle oznajmił Travis. — To chyba raczej jasne, że ci ludzie byli czcicielami słońca. Ta piramida to jednocześnie świątynia i obserwatorium. Coś podobnego budowali Egipcjanie, tak samo Aztekowie. Mam przeczucie, że tę dziurę zrobiono tak, by w czasie przesilenia letniego, i tylko wtedy, słońce wpadało tutaj do środka i oświetlało ten ołtarz. Jakie krwawe orgie następowały potem, to nas w tej chwili nie obchodzi. Rzecz polega na tym, że musimy sprawdzić moje obliczenia położenia geograficznego — ten ścięty wierzchołek na górze musi być skierowany na południe, i jeśli uda mi się określić dokładnie gdzie promienie padną na ołtarz, będę miał potwierdzenie wysokości słońca w tym dniu. To nie wszystko, czego potrzebuję, ale byłaby to znaczna pomoc.

— W tych dawnych czasach klimat musiał być zupełnie odmienny — stwierdził Hartley, spoglądając przez mrok na niewielką, rozmytą plamę światła.

— Oczywiście, że tak. Odpowiedzą jest tu wulkanizm. Przez jakiś czas planeta była stabilna, a potem nastąpiła kolejna epoka górotwórcza. Te strzępki informacji o geologii, jakie udało nam się otrzymać od Maggy, pokazały nam, co zrobiły ostatnie ruchy tektoniczne. Ale to nie tylko trzęsienia ziemi i erupcje wulkaniczne załatwiły Wenusjan. Ekstremalnie silna aktywność wulkaniczna, wyniosła w powietrze znaczne ilości pary wodnej. U nas również tak było. Wyciągnęły ją z samego jądra ziemi, gdzie ciągle jest utrzymywana jako składnik ogólnej masy. Wenusjanie szybko tracili swe miasta, a ich niebiosy zaczęły robić się coraz gęstsze. Tak więc, co sprytniejsi z nich zebrali się razem i próbowali uciec. Musiało być wśród nich paru na tyle zaawansowanych, że potrafili wyobrazić sobie coś takiego, jak statki kosmiczne – wenusjańskich Leonardo da Vincich, dalece wyprzedzających swe czasy – ale wiemy, że byli w stanie to zrobić, i przy odrobinie szczęścia ich rasa mogłaby przetrwać.

— No, dobrze — przyznał Hartley. — Ale w jaki sposób miałyby to nam pomóc?

— Mamy tu pierwszorzędne obserwatorium – dla Wenus. Z każdym dniem Słońce jest coraz wyżej na niebie. Nadal będę kontrolował to z zewnątrz, a ty rozstawisz trochę sprzętu tutaj. Jeśli twoje przyrzędy zgodzą się z moimi co do dnia w którym wypada przesilenie, moja teoria zostanie udowodniona. To będzie dla nas punkt bazowy – długość zero i szerokość, jaką określimy. Potem przeniesiemy się do innego miasta i zdobędziemy kolejny zestaw pomiarów. Trochę czasu i będziemy mieli tę sprawę załatwioną.

Tego wieczora otworzyli butelkę przywiezionej do celów medycznych brandy i urządzili małe święto. W jego trakcie Hartley przypomniał sobie, że nie złożył rutynowego codziennego raportu. Nie chcieli, żeby zaczęły się tu kręcić pełne najlepszych intencji grupy ratunkowe. Złożył więc zwykły raport, że wszystko z nimi w porządku, ale poszukiwania idą powoli.

— Spytaj, jak idzie Driscollowi — ponaglił go Travis, pociągając kolejny łyżek.

— Nie za dobrze — odparł Hartley, kiedy rozłączył się z pstryknięciem. — To znaczy, dla nas. Arbitrzy mówią, że odwołał statki, które wcześniej wzięły nogi za pas, zostawiając go tutaj. Twierdzi, że ponieważ tak faktycznie nie dotarły one jeszcze do Ziemi, ciągle stanowią część jego ekspedycji. Teraz więc ma całe mnóstwo grup w terenie. Arbitrzy mówią, że zajął setki mil kwadratowych terenu, po swojej stronie. Zaczęli nawet coś wspominać, o posłaniu po kolejnych ludzi, żeby zacząć oczyszczać miejsce na lądowisko.

— To kiepsko — warknął Travis. Zazwyczaj nie czuł niechęci do innych ludzi, ale Driscoll, to inna sprawa. Wezwanie dodatkowej pomocy, było ciosem poniżej pasa. — Czu wspominał coś o znalezieniu innych miast?

— Nie, ale mówił, że Driscoll wyglądał na bardzo zadowolonego. Pewnie trzyma karty przy orderach, tak jak my.

— Acha — chrząknął Travis. To nie były dobrze wieści. Na liście płac Driscolla było wielu sprytnych ludzi, a odkryte starożytne tajemnice nie były chronione prawem autorskim.

Przesilenie letnie nastąpiło dwa dni później, ale potrzebowali jeszcze kilku dni, żeby się co do tego upewnić, ponieważ słońce obniżało się zbyt niezauważalnie, aby to stwierdzić przy pomocy posiadanych prymitywnych przyrządów. Travis spędził ten czas nad dokumentami znalezionych w świątynnej bibliotece i fotokopiami podobnych wykopanych w Persji. Odczytanie hieroglifów dalece przekraczało jego możliwości, poza liczbami. Te ostatnie opierały mu się przez chwilę, dopóki ze złością nie zauważył, że z uporem nie dostrzegał faktu, iż do ich zapisu wykorzystywano dwanaście znaków, a nie tak jak zwykle dziesięć.

— No, oczywiście! — stwierdził kwaśno. — Ludzie o sześciu palcach u rąk i nóg, musieli używać dwunastkowego systemu liczenia. Powinienem się tego domyślić po tych ornamentach, kształcie piramid i w ogóle.

Potem nie zajęło już zbyt wiele czasu odczytanie co prostszych obliczeń pozostawionych przez starożytnych, ale z powodu braku objaśnień tekstowych, pozostały one niezrozumiałymi operacjami czysto arytmetycznymi.

Hartley otworzył kolejny zwój i rozwinął go na swoim prymitywnie zaimprovizowanym biurku.

— Patrz...! — zawołał.

— Mapa! — wykrzyknął Travis.

Potem jednak jego nadzieje przygasły. To była mapa, ale czego? Nie było na niej brzegów mórz, ani rzek, czy łańcuchów górskich, nie była to także kolejna mapa gwiazd na niebie. Częściowo miała ona wygląd obu rodzajów map. Rozsypane na niej były miriady malutkich czarnych słoneczek, niektóre z nich były mniejsze, inne większe. Były one połączone między sobą siecią linii, zygzakowatych jak konwencjonalne rysunki błyskawic. Na każdym z niewielkich symboli naniesiono po dwa hieroglificzne znaki, ewidentnie nazwy miejsc, czy rzeczy, ale nie potrafili ich odczytać. Na wszystko nałożona została cienka, prostokątna siatka, z podanymi drobnym pismem liczbami na końcach. Cztery z poziomych linii były grubsze od pozostałych, a pomiędzy dwiema środkowymi i punktem centralnym mapy znajdowały się dwa podwójne słoneczka w złotym kolorze – jedno tuż pod górną linią, drugie tuż ponad dolną.

Głowili się nad mapą przez kilka godzin. Travis wyciągnął swoje tablice kodujące wartości numeryczne i zajął się przekładem liczb. Linie pionowe oznaczone były numerami o liczbie cyfr sięgającej trzech, a ich wartości zmieniały się od zera do 999 w skali dwunastkowej – wartości dokładnie o jeden mniejszej od sześcianu jej podstawy. Linie poziome nie miały przydzielonej liczby wyższej od 499 w tej samej skali. Wszystkie wartości zmieniały się po kolei, w sposób ciągły, przy czym przy liniach poziomych biegły z góry na dół, a pionowych od prawej do lewej. Górna i dolna część mapy, była poza nimi pusta.

— To jest łudząco podobne do siatki Mercatora — upierał się Hartley.

— Wiem... czekaj! — Travisowi nagle przejaśniło się w głowie i roześmiał się. — To tylko pokazuje, co może zrobić z człowiekiem zafiksowanie się na czymś. Ciągłe myślimy w kategoriach koła, składającego się z trzystu sześćdziesięciu stopni. Ci ludzie mieli prostszy system. U nich koło miało tysiąc siedemset dwadzieścia osiem stopni – sześcian dwunastki! Teraz to ma sens.

Otworzył szarpnięciem szufladę i wyciągnął z niej zdjęcia, które zrobili w świątyni-piramidzie. Jedno z nich przedstawiało ogromny pylon ponad głównym ołtarzem na parterze. Złapał dwie duże lupy i podał jedną Hartleyowi.

— Zobaczmy, czy nie uda nam się gdzieś na mapie dopasować tych znaków. One mogą oznaczać naszą świątynię, albo miasto. Mam takie przeczucie, że będą one gdzieś na średnich wysokościach geograficznych, a więc ty patrzysz na górną część, a ja na dolną.

Po krótkiej chwili Harley wydał z siebie okrzyk. Znalazł pasującą parę. Pieczołowite poszukiwania przez następne pół godziny, pokazały, że na mapie nie było żadnego innego miejsca z tymi samymi oznaczeniami. To wskazywało, że każde z malutkich słoneczek reprezentowało piramidę, a poszarpane linie między nimi, były prawdopodobnie łączącymi je arteriami komunikacyjnymi. To, co leżało przed nimi, była to mapa świątyń na Wenus.

Pracowali jeszcze bardzo długo, zanim Travis poczuł się usatysfakcjonowany. Pobiegł i znalazł pomiary ze świątynnej komnaty na górze. Chciał zestawić wszystko razem, podejrzewając, że nachylenie ściętego dachu było takie, by był on ustawiony prostopadłe względem kąta padania promieni słonecznych w środku lata. Wynosiło ono dwadzieścia jeden stopni względem poziomu. Odjął tę wartość od zaobserwowanej maksymalnej wysokości słońca, wynoszącej sześćdziesiąt siedem stopni. Wynik brzmiał czterdzieści sześć. Nie była to liczba podana na mapie, ale Wenusjański schemat pomiarów był inny. Szerokość geograficzna, zgodnie przyjętą przez nich konwencją, wyznaczana była od bieguna do bieguna, a nie od równika w obie strony. Travis wykonał kilka szybkich obliczeń, przekształcając małe stopnie wenusjańskie na większe ziemskie. Wynik był bardzo radosny. Wyniósł on bowiem czterdzieści sześć.

— No to, jesteśmy w domu — zachichotał Travis. — Teraz wszystko zaczyna być jasne. Te podwójne złote słoneczka oznaczają szczęśliwe ziemie – Podwójnie Błogosławione, jak można by powiedzieć. W tropikach słońce znajduje się w zenicie dwukrotnie w ciągu roku, a więc kapłani mogli urządzać dwa razy więcej krwawych imprez. Stawiam grube pieniądze na to, że świątynie na tym terenie miały płaskie dachy. Na wyższych szerokościach, musieli przechylać dachy, żeby wpuszczać słońce do środka raz na rok, w dniu, w którym powinno się tam znaleźć, i kąt nachylenia był coraz większy, w miarę przesuwania się ku biegunom. Powyżej kręgów arktycznych, są dni w które w ogóle nie ma słońca na niebie, a więc świątyń było tam mało i są duże odległości między nimi.

Zastanówmy się jednak, czy daje nam to klucz na który czekaliśmy? No to, jedziemy.

— Gdzie? Na statek?

— Jeszcze nie. Zatrzymamy się w następnym mieście i wszystko jeszcze raz sprawdzimy.

Bez mapy łatwo byłoby to miejsce w ogóle przegapić. Leżało w płytkiej dolinie i z całej świątyni ponad trzciniaste bagnisko wystawał tylko ukośny fragment płaskiej kamiennej płyty, który łatwo można by ominąć, uznając go za występ skalnego podłoża. Oczyszczili z błota otwór, którym wpadało słońce i spuścili do komnaty ofiarnej zagrzebanej piramidy, wąż odsysający. Zapędzili do pracy pompę w łaziku i wkrótce na zewnątrz zaczęła buchać woda. Panowie zjedli lancz, a następnie przystąpili do pracy łomami, powiększając otwór. Nie musieli wysadzać sobie drogi do wielkiej sali u podstawy piramidy. Górne pomieszczenie też było ozdobione znakami identyfikującymi świątynię. Zdrapali z nich szlam i porównali z mapą. Zgadzały się.

Kiedy znaleźli się z powrotem na górze i schronili się w łaziku przed deszczem, który właśnie wzmógł się z poziomu nieustannej ponurej mżawki do lejących rześście strug, musieli przeczekać kolejne wstrząsające do szpiku kości trzęsienie ziemi. Mieli trochę czasu, żeby pomyśleć i ocenić ogrom leżącej im u stóp fortuny.

— Czy to oznacza, że ta cała przeklęta planeta należy do nas? — spytał Hartley, lekko wystraszony.

Travis skinął głową.

— Sprawa rozstrzygnięta.

— Ale co my z tym wszystkim zrobimy? Przecież nie zamieszkać tutaj, nawet jeśli mi to oddadzą

— Nie wiem. Myślę, że wykopiemy stąd Driscolla i oddamy wszystko biednym.

Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

— Ja też nie zamieszkałbym tu na stałe.

KONIEC